



Plotki lwowskie.

Co sobie opowiadają w Rosji o Lwowie. — Rosyjscy przybysze a nasza gościnność. — Lwowskie hotele. — Jak się u nas wyprowadza z błędu. — Przedsmak rozruchów rosyjskich a nowe zwycięstwo policji. — Hofrat Schechtel idzie. — Dwa śledztwa. — Raport wojskowy i raport cywilny. — Strach konsula a wizyta namiestnika. — Wiec ludowy zaniedbany przez policję. — Policyjny fejleton. — Zjawisko na niebie i jego komentarze. — Zmiana tytułatury. — Stróż czy dozorca. — Mój stróż i jego goście. — Klisia chora. — Skutki podwójnego wzroku.

W całej Rosji opowiadają sobie oddawna, że Lwów to miasto bardzo spokojne, gościnne i sympatyczne, że ludzie żyją tu tanio, wygodnie i bezpiecznie, jak u Pana Boga za piecem kaflowym, że niema tu ani teroru rosyjskiego, ani zgiełku rewolucyjnego, ani rzezi czarnych sotni, a że i nie-rze i policyjanci całują się na ulicy z cywilami i piją „bruderschaft“. Dlatego wielu mieszkańców Petersburga, Moskwy, Odessy i innych miast rosyjskich, uciekając przed pogromami tamtejszymi, przyjechało wprost do Lwowa, do tego *eldorado* spokoju i wolności, ażeby nareszcie odechnąć, odpocząć, przyjść do siebie, a przedewszystkiem, ażeby uratować życie. W powyższych celach przyjechali do Lwowa, więc Lwów przyjął ich, jak mógł, gościnnie. Przedewszystkiem chodziło o pomieszczenie przybyszów. Więc hotele. Ale pierwszo i drugorzędne hotele są zajęte izbyt drogie, więc wybrali trzecio- i ostatniorzędne. Niestety! Jest ich wprawdzie wiele, ale one nie przyjmują stałych gości. Wszystko zajęte — odpowiedziano im, bo taki przybysz może i chce płacić co najwyżej dwie lub trzy korony dziennie, ale żąda opatu, oświetlenia, czystej pościeli i innych dodatków, podczas gdy te hotele zarabiają na jednym pokoju po kilkadziesiąt koron dziennie, bez grymasów i kłopotów. Nie można więc żądać, by właściciele hotelów z powodu jakiegś tam rewolucyjnego rosyjskiego pozbawiali się zarobku uczciwego, tolerowanego przez lwowską policję, magistrat i inne władze, którym przecież bezpieczeństwo i moralność publiczna przedewszystkiem leżą kamieniem na sercu. Policja tu ingerować nie mogła i nie chciała, bo w razie wygodnego i taniego pomieszczenia rosyjskich przybyszów, groziło nam „formalne zalenie“ nowymi uciekinierami z Rosji. Z ciężką więc biedą porozmieszczali się, gdzie mogli, oczywiście za drogie pieniądze, których mieli mało, a Lwów robił dalej wszystko możliwe, ażeby ich wyprowadzić z dotychczasowego błędu. A więc drożyzna i brak środków żywności przekonały ich, że w Galicji niema wprawdzie rewolucji, ale że rewolucja nie jest koniecznym ich warunkiem, bo zupełnie do tego wystarcza, gdy magistrat jest pod psem i bezradny jak mysz w łapce. Za to zaimponowało im końskie mięso, którego nigdy nie jedli, a o którym dopiero we Lwowie się dowiedzieli. Ażeby im jednak ze wszystkim dać przedsmak rozruchów rosyjskich, urządziła policja walną bitwę pod konsulem pruskim przy ul. Mochnackiego, w której odniosła znów świetne zwycięstwo nad studentami i przekonała po raz x-ty pana namiestnika, sejm i opinię publiczną, że policja lwowska na punkcie dzielności prześcignęła kozaków moskiewskich i najcięższych członków czarnych sotni, oraz, że bezpieczeństwo publiczne we Lwowie nie pozostawia już nic do życzenia dla konsulatu pruskiego. Na osobną wzmiankę pochwlebną zasługuje policja konna, których szarża, traktowanie i rozpychanie radością napełniało serca lwowskich obywateli, nieufnych dotąd w dostateczność sił i sprawność ruchów naszej policji. Dzielnie zachowywali się urzędnicy policji, którzy już niejednokrotnie dowiedli wybornych kwalifikacji na dowódców siły zbrojnej. Gdyby Rosja była miała takich wodzów, z pewnością losy wojny rosyjsko-japońskiej byłyby wzięły inny obrót. Naczelnik siły zbrojnej policyjnej, hofrat Schechtel, z powodu ostatniego zwycięstwa jego hufców, otrzymuje liczne gratulacje z najdalszych stron Rosji i Persji i tymi dniami opuści swoje dotychczasowe, tak zaszczytne i obfite w plony, stanowisko oberpolicmajstra Lwowa.

W sprawie bitwy pod konsulem pruskim toczy się podwójne śledztwo, jedno wojskowe, drugie cywilne. Wojskowe śledztwo dotąd wykazało, że stu-

denci sprowokowali przechodzących tą drogą spokojnie kilkudziesięciu policyantów, że do nich bez żadnego słusznego powodu strzelali z karabinów (studenci nie noszą przy sobie karabinów, lecz armaty! *Przyp. Red.*), przyczem jednego policyanta omal nie zastrzelili na śmierć, a tylko zawdzięcza swe ocalenie tej okoliczności, że nie był wówczas w służbie, dwunastu policyantów postrzelili, raniąc im różne mniej lub więcej ważne i potrzebne części ciała, jednego udusili żywcem, a wreszcie czterech konnych policyantów studenci potratowali. Śledztwo cywilno-policyjne wykazało mniej krwawe rezultaty. Policja, jak zawsze, uprzejmie prosiła demonstrantów do spokojnego „rozejścia się“. Demonstranci, w odpowiedzi na tę prośbę, obrzucili policję obelgami i kamieniami, zapytując ich o numery na księżycach. Wtedy policyjanci pochowali swoje półksiężyce, chroniąc je przed natarczywością napierających demonstrantów. To podobno obrzyło demonstrantów, bo zaraz po tym fakcie padł pierwszy strzał, a po nim drugi i trzeci, które na szczęście nikogo z policyantów nie zabiły, ale owszem zwróciły się przeciw samym demonstrantom. Policja cofnęła się przed kulami, lecz demonstranci strzelali do niej z tyłu, żądając okazania księżyców, których — jak wiadomo — policyjanci z tej strony nie noszą. Nie pomogły łagodne i ludzkie przedstawienia ze strony urzędników policji, że ekscelencya sam pan namiestnik przestrzegał w sejmie przed demonstracjami i zapowiedział, że policja niewinnych za winnych traktować i mordować będzie, podobnie jak nie pomogły perswazyje agentów policyjnych, którzy w przekonujący sposób dla odstraszenia rozdzielali kułaki pomiędzy studentów — demonstranci napierali dalej i w ścisłości ranili się, drąc na sobie ubrania. Wtedy zjawili się na miejscu zająca ekscel. p. namiestnik z prezydentem i posłami sejmowymi, dla których ocalenia musiała wkroczyć policja konna. Konie z początku bardzo łagodnie i po ludzku obchodzili się z demonstrantami, usuwając ich ogłędnie i delikatnie, dokładnie według regulaminu dla policji konnej i ustnych wskazówek urzędników policji. Lecz i koniom nie dali demonstranci spokoju, popychając je, bodząc i kopiąc, a od czasu do czasu strzelając do nich z rewolwerów. Wtedy policja nie chcąc dopuścić do bratobójczej walki, cofnęła się w spokoju.

Z demonstrantów nikt nie zgłosił się na stacyj ratunkowej, z czego wynika, że żaden z nich nie poniósł szwanku. Z policyantów dwóch lekko rannych w księżyc, a jeden walczy między życiem, śmiercią a zmartwychwstaniem.

Tak mniej więcej brzmią protokoły dwóch śledztw urzędowych, a więc zasługujących na wiarę. Wobec tego interpelacje posłów sejmowych były zupełnie niepotrzebne. Można być pewnym, że policyantom nic złego się nie stanie, że komisarze i ajenci policyjni posuną się o jedną rangę w górę a dyr. Schechtel pójdzie w dobre i dawno już zasłużony stan spoczynku, jeżeli nie przejdzie do innej służby w namiestnictwie.

Najwięcej strachu miał podobno sam konsul pruski, któremu tę „*Tafelmusik*“ urządzono podczas kolacji. Namiestnik natychmiast złożył mu wizytę i przeprosił w imieniu policji i demonstrantów za owację. Pan konsul nawet nie wyszedł na balkon, ażeby zebrany na dole za owację podziękować. Ot, Prusak...

Tak więc skończyła się owa pamiętna demonstracja przed konsulem pruskim, uświetniona łaskawym współudziałem lwowskiej policji. Natomiast zaniedbała policja przyczynić się do uświetnienia innego pochodu demonstracyjnego, mianowicie pochodu, który ruszył po wiecu w „Gwieździe“ przed sejm. Dzięki temu zaniedbaniu brakło urozmaïcenia, nie było awantur, strzelaniny, krwi, jednym słowem pochód był jałowy i nie utkwiał w naszej pamięci. I przekonujemy się po raz setny, że tylko tam, gdzie wmięsza się policja, robi się coś zajmującego, co warto zapamiętać i powoduje ruchawkę w mieście. Bez policji nie byłoby życia, bo wyginęlibyśmy z nudów.

Przepraszam szanownych a tak cierpliwych czytelników za ten dzisiejszy fejleton policyjny, ale musiało się to stać, skoro „plotki“ mają być fotografją tygodnia, a cały tydzień ubiegły przeżyliśmy pod znakiem pół-księżyca.

Z innych „znaków“, pod którymi żyliśmy w ubiegłym tygodniu, zanotować muszę cudowne zjawisko atmosferyczne, widziane i podziwiane na niebie onegdaj wieczorem, wyobrażające wielką krwawą plamę w otoczeniu poszarpanych chmur. Ludzie długo oglądali zjawisko i komentowali w najdziwniejszy sposób. Jedni uważali to za zapowiedź bliskiej wojny z Rosją, inni przepowia-

dali głód czy potop, rzeźnicy twierdzili, że to tak niebo gniewa się na jatki końskie, w teatrze wróżono wystawienie i upadek nowej sztuki swojskiego autora (może to „Czerwony bukiet“, który zwiędł po drugim przedstawieniu?), „Słowo polskie“ obawia się, aby p. Wityk nie wyróżną szlachty polskiej we wschodniej Galicji, w magistracie prze-powiadają wyschnięcie wody w wodociągach a dzienniki — dzienniki nie nie przedowiadają.

Z pocieszających faktów ubiegłego tygodnia zanotować jeszcze muszę zmianę dotychczasowego tytułu stróżów kamienicznych na oficjalny tytuł: dozorca. Regulamin dla stróż — pardon, dla dozorców uchwaliła nasza rada miejska na jednym z ostatnich swoich posiedzeń. W główniejszych zarysach streściłem już dawniej ten regulamin z pewnymi zmianami, które pozwoliłem sobie zaproponować na rzecz pp. dozorców. Te zmiany są, zdaniem mojem, konieczne dla podniesienia społecznego i etycznego pp. dozorców, którzy, jak wiadomo, są jeszcze dość — niekulturni. Mój stróż naprzykład jest kapitanem czy oberlajtnantem u ck. weteranów wojskowych, urzędują u siebie często „tańczące herbatki i wódeczki“ a po zabawie od swoich własnych gości bierze szperę, wypuszczając ich z bramy. Bo stróżowi wszystko wypada. Natomiast dozorca już podobna niedelikatność nie uchodzi. Dobrze więc stało się, że uchwalono tę zmianę tytułatury.

Piorunująca wieść o niebezpiecznej chorobie najulubieńszej artystki lwowskiej Karoliny Kliszewskiej, bawącej obecnie na kuracji zagranicą, spardła niespodzianie i wywołała olbrzymie wrażenie. Trzeba widzieć, jaką sympatyą cieszy się u nas Klisia, ażeby zrozumieć zmartwienie i żal jej gorących wielbicieli. Ale serdecznie rozkoszna Klisia wykpiła się śmierci i oto wraca już po ryzykownej operacji do zdrowia. Można sobie już dziś wyobrazić, jakie owacy i ile kwiatów nazbiera p. Kliszewska, gdy po raz pierwszy wystąpi po słabości i srebrnym głosikiem zaśpiewa kuplet, jak to ona już miała pójść śpiewać do nieba, ale żal jej było porzucać ukochany Lwówek, który tak pokochał, a który ją tak szczerze kocha...

Na zakończenie... Pewien urzędnik lwowskiej dyrekcyi kolejowej wrócił właśnie mocno „nie swój“ do swego domu, do którego trafił przy gorliwej pomocy trzech kolegów nad ranem, gdy u niego żony wstał się... bocian. Zaglądnął do malej waniienki i rozpromieniony wyleciał z mieszkania, aby kolegom oznajmić radosną nowinę. Jeszcze ich zastał na schodach.

— Co jest? — zawołali koledzy chórem.

— Jest błogosławieństwo — odparł jeszcze ciagle kirny... ojciec.

— Co Bóg dał, syna czy córkę? — spytał jeden z kolegów.

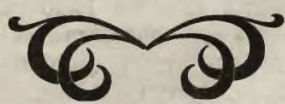
— Gdzie tam, dwóch chłopców naraz! — odpowiedział uadowany ojciec i wrócił do domu, odbrawszy gratulacje kolegów.

Cały oddział wiedział już nazajutrz o radosnej nowinie. Tylko ojciec jakoś nie przychodził. Aż następnego dnia powitano go w biurze chórem.

— Rzadkie szczęście — mówili koledzy — bliźnięta, to szczęście!

— Gdzie tam, to tylko jeden chłopak, ale w pierwszej chwili wydawało mi się, że to bliźnięta, bo po pijanemu widzę podwójnie...

Klewe.



Miedzy teściowemi.

— Czyż to być może, żeby zięć pani ośmielił się podnieść na nią rękę?

— Tak, droga pani, niestety to zwierzę dopuścił się tego!

— Mój zięć — to anioł! wczoraj na imieniny ofiarował mi przepyszny wieniec z nieśmiertelników z dedykacją „mojej nieodżałowanej teściowej“...

Na balu publicznym.

Gospodarz (do nietańczącej młodzieży): Pięknych dam dużo, a panowie próżnują, nie chcą tańczyć.

Młody człowiek: Niema głupich.

Starszy pan: Są, tylko nie chcą tańczyć.

